Lwów, 20. Maja | №60. | Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we Wtorek, Czwartek i Sobote. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. — półroczna 3 Złr. — kwartalna 1 Złr. 30 kr. — miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następne po 1 1/2 kr. i za dopłatą 10 kr stęplowego.
Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha* przy placu dykasteryalnym pod l. 41.

NIE UFAJ SOBIE.

Powieść przez Maryą z Chłędowskich Pomezańską.

(Ciąg dalszy).

V.

Reszta podróży odbyła się bez wszelkich wspomnienia godnych wydarzeń, prócz chyba ostatniego noclegu, który zakończył się z powodu Jędrzeja nieuwagi, bardzo przykro dla pani Dążyckiej. Nocowały te panie razem z jakąś hrabiną. Pani Dążycka chcąc wystąpić z kucharzem, kazała przyrządzić śniadanie. Wszystko poszło bardzo dobrze, lecz na nieszczęście, pani Dążycka chciała wyjechać pierwej od hrabiny, zapewne dla tego, aby pokazać, że prócz kucharza ma jeszcze i lokaja. Wyszła już do sieni, i czekała tylko na lokaja Jędrzeja, by jej podał rękę. Jędrzej przez ten czas zajmywał się wylizywaniem rądelków, aby się przekonać zapewne o doskonałości swojej kucharskiej umiejętności. Gdy go więc Maciej zawołał, nie miał czasu wdzianiem liberyi przerobić się z kucharza w lokaja, i zasmarowany, przybiegł podać rękę wsiadającej do powozu pani.

Biedna Dążycka omal nie zemdlała, widząc że hrabina stoi we drzwiach. Lecz nie było ratunku! Wskoczyła więc do powozu, i zakrywszy chustką twarz, wstydem zarumienioną, kazała gonić jak najprędzej. Biedny Jędrzej, naprzeklinawszy wszystkie hrabiny na świecie, które mu zawsze stawały jak na złość w drodze, ledwie miał czas wrzucić surdut na kucharski fartuch, a kapelusz liberyjny na szlafmycę i pogonił za powozem, którego dopadłszy, z niemałem natężeniem przyczepił się z tyłu do powozowych kutasów, przewidując burzę jaka go zdybie.

Wjechano wreszcie do miasta. Ekwipaż niebardzo wytworny, napchany dziećmi, zwrócił uwagę przechodniów, mianowicie chłopców ulicznych, którzy towarzyszyli mu z rozmaitemi krzykami i śmiechami. Biedna pani Dążycka niemało znieść musiała, bo i lokaj nie siedział wedle jej modnych wyobrażeń na kożle, i gdy stanęli przed pomieszkaniem pani Zenobii, a zaspany Jędrzej otwierał drzwiczczki, i ona i wszyscy obecni postrzegli szlafmycę i fartuch kucharski. Homeryczny śmiech powstał pomiędzy ulicznikami.

— Otwieraj! otwieraj raz głupcze! — zawołała zkonfundowana pani Dążycka.

— Otwieraj! otwieraj raz głupcze! — powtórzyli chłopcy uliczne, śmiejąc się i skacząc w około powozu.

Wydobyto przecie dzieci z powozu; Maciej batem porozpędzał chłopców, i pani Dążycka weszła na schody, na czele swojej kalwakaty.

Lecz się na tem nieskończyły niepowodzenia Dążyckiej; kielich goryczy musiała wypić aż do dna; wszystko zdało się tego dnia zbiegło się na to, aby Felicyi dać większą jeszcze odrazę od miasta.

Pani Zenobia nie była sama, trzeba się było zatem zameldować, i długi czas minął, zanim pani Zenobia zdecydowała się przyjąć panią Dążyckę, bo chociaż nazwisko to było jej doskonale znajome, udawała przed gośćmi, że go nie zna.

Jeszcze gorzej było, gdy przyszło wejść do salonu. Dzieci jak zwyczajnie dzieci, w obcem i nieznanem sobie miejscu, tuląc się pod opiekę matki, wpychały się z nią razem do drzwi salonu, co naturalnie dla gości salonowych musiało się wydać śmiesznem. Wejście Felicyi było zupełnie naturalne, bez zmieszania się postępowała za matką, i poczerwieniała tylko na widok złośliwego uśmiechu, który przemknął po twarzach obecnych.

— Ach to pani! — ozwała się Zenobia gorzko-kwaśnym głosem, i wystąpiła ku wchodzącej z wyrazem witającym.

Pani Dążycka przyjmując ten wyraz za dobrą monetę, poskoczyła żwawo naprzód z wyciągniętemi rękoma i twarzą gotową do przyjaznego pocałowania. Pani Zenobia przestraszona tym parafiańskim ruchem, usunęła się na bok, a przywitalne pocałowanie pani Dążyckiej odbyło się powietrznem cmoknięciem dość głośnem, i wywołało uśmiech jeszcze więcej szyderczy na twarzach gości pani Zenobii. Felicya dostrzegła to, i zapłoniła się nie tyle wstydem, ile słusznem oburzeniem.

— Pani Dążycka! — ozwała się znowu gospodyni, zwrócona do gości swoich; znajoma moich lat dziecinnych! którą już dawno nie widziałam —dodała chcąc niby uniewinnić jej parafiańskie ułożenie,—bo się zupełnie na wsi zagrzebała.

W tych słowach nie było na pozór nic urażliwego, ale przycisk na na ostatnie słowo położony, był pełen lekceważenia.

Na twarzy Felicyi wzmógł się rumieniec, a że cierpli-

wość nie należała do zalet wiejskiej dziewczyny, faworytki ojcowskiej, ozwała się szybko bez zastanowienia:

— Moja mama była tak niecierpliwa, by już raz uściskać i przywitać panią, której była nie tylko znajomą, ale i opiekunką przez lat kilka.

Zenobia i całe towarzystwo spojrzeli z zadziwieniem na dziewczynę, przemawiającą głosem dźwięcznym, ale stanowczym. Śliczną była Felicya w tej chwili, z zapałem w oczach, rumieńcem na twarzy, i całem obok tego ułożeniem, pełnem dziewiczej prostoty i skromności. Zenobia najwięcej była zadziwiona, po opinii bowiem matki, mniemała ujrzyć w córce dziewczynę wiejską, ładną ale niezgrabną i bez wychowania. Rada z tego, przez wzgląd mianowicie na gości swoich, podbiegła ku niej z wielką grzecznością, i chciała ją uściskać.

Lecz Felicya słusznym odwetem odpłacając, usunęła się na bok, pani Zenobia stała tym razem z wyciągniętemi rękoma i twarzą do pocałowania gotową. Dziewczyna ukłoniła się nisko i wyrzekła z nieśmiałością, szyderstwem nieco nacechowaną:

— Nie zasłużyłam sobie jeszcze na tak uprzejme przyjęcie łaskawej pani, o której względy starać się i zasłużyć na nie, ma być odtąd moim obowiązkiem, wedle życzenia mojej mamy.

— To jakaś pedantyczna mądrość wiejska! — szepnął Karol do Ludwika. Samemi przemawia kazaniami!

— Ale te kazania — odrzekł Ludwik, wychodzą ze ślicznych ust, które ucałować byłoby rzeczą nader miłą. Jako domowy przyjaciel, gotów jestem wystąpić w szranki.

— Mniemasz zapewne, że w tem pomieszkaniu masz prawo do wszelkich wyznań miłośnych. Ja zaś myślę, że zyskasz jeżeli nie odprawę, to przynajmniej podwójne karanie, i pani i panny.

Słowa te ostatnie wymówił pan Karol głośniej nieco. Pani Dążycka, która przez ten czas usiadła na kanapie, zasłyszawszy coś o kazaniu, a czując potrzebę wmieszania się do rozmowy, i okazania, że ton konwersacyjny nie jest jej obcy — ozwała się nagle:

— Panowie mówicie o kazaniach? Czy może być co pyszniejszego jak kazania du père Lacordaire: ja przynajmniej nic lepszego nie znam.

— Jakto? — pani jeździsz do Francyi na kazania ojca Lacordaire? — zagadł Ludwik szyderczo.

— To nie! — odrzekła pani Dążycka nieco zmieszana.

— Ja myślę — przerwała Felicya, bojąc się by matka nie brnęła dalej; że i u nas można nieraz usłyszeć pełne prawdy i budującej wymowy. I łatwiej podobno — dodała z uśmiechem bardzo grzecznym, chociaż nie bez umyślnego szyderstwa zwróconym do obydwóch młodzików; o dobrych kaznodziei, jak o słuchaczów, chcących się poprawić, z wad i śmieszności swoich, jeżeli oczywiście słuchanie kazań należy do dobrego tonu, o czem, że ja wieśniaczka nie wiem jeszcze, raczcie mi państwo darować.

Ani Zenobia ani młodzi dandysy nie wiedzieli co odpowiedzieć, bo postawa szlachetna dziewczyny wstrzymywała ich od wszelkiej złośliwej odpowiedzi. Nastało więc milczenie, które pani Dążycka z obowiązku damy światowej chciała już przerwać, jak to lekkie jej zwiastowało krząknienie. Szczęściem scenę tę, ambarasującą wszystkich, przerwał jeden z aniołków nowo przybyłych. Toldzio czy Mundzio, próbując rozmaitych po salonie skoków, pośliznął się na woskowej posadzce i porządnie brzdęknął sobą. Milczenie więc ogólne przerwał krzykiem przeraźliwym. Felicya rada była z tej okoliczności, bo miała słuszny powód oddalenia się z salonu. Jakoż porwała dziecko krzyczące i wołające w niebogłosy: Głupia pani Żabinia ze swoją posadzką! i wyszła z salonu.

Po uspokojeniu dziecka, wróciła Felicya do salonu z nader smutnem usposobieniem. Coraz jej przykrzej było, że przyjechała do miasta, i zarzucała sobie nawet, że nie posłuchała raczej Brunona, niżeli własnej miłości swojej która jej nakazywała przekonać Brunona o sile swych uczuć i swych zasad. W salonie siedziały już obydwie panie same.

Pani Zenobia dziwiła się niepomału nad śmiałością Felicyi w jej odpowiedziach, i wyraziła z rodzajem nieukontentowania, że jej przyszła uczennica ma ton nadto pewny, który jej przeszkadzać będzie do przyjęcia ogłady salonowej.

— To jest właśnie moja desperacya! — ozwała się matka; ten jej upór, z jakim odrzuca wszystkie zwyczaje wyższej elegancyi. Jest to wina mego męża, który ją oddał na pensyę do tej pedantki Mielskiej, i wina także pana Brunona, z którego nawet powodu wywiezłam ją ze wsi.

— Któż to jest ten pan Bruno?

— Ma w sąsiedztwie wioszczynę, gospodaruje jak ekonom i zamiast grać w diabełka, preferansa, zamiast polowania i zabawy, siedzi w gorzelni, pilnuje żeńców, a nawet sam chodzi za furami z nawozem.

— Z nawozem! cóż to za rzecz?

— Jest to coś tak brzydkiego, że trudno wyrazić, trudno znaleść słowo, które by nie zprofanowało uszów i ścian eleganckich.

— A przecież ten nawóz — przerwała Felicya z uśmiechem, rozrzucany w polu i w ogrodzie, dodaje żywności wszystkim płodom, a kwiatom barw i kształtów.

— Widzisz Zenobio! otóż to tak ona poetyzuje wszystko wiejskie, a nawet gnój i Brunona.

— Mamo! to się niegodzi!

— Ale godzi się! bo proszę ciebie moja Zenobio, ona ma predylekcyą do rzeczy dzikich, barbarzyńskich. Ten jej Bruno naprzykład, ma brodę bandycką po pas prawie. Widziałam wprawdzie i u tych panów tak miłych i wytwor-

nych, którzy tylko co wyszli, bródki, ale jakie, aż miło patrzeć na nie. A ona jakże im odpowiadała, z jaką arrogancyą, z jakiem lekceważeniem. A wszystko to na bechtanie tego Brunona, przesiąkłego gorzelnią.

— Już to dochód gorzelniany, to podobno rzecz bardzo intratna! — ozwała się pani Zenobia, aby coś powiedzieć.

— Ale zawsze smrodliwa! Imajnuj więc sobie, że ona przenosi tego Brunona, śmierdzącego gorzelnią, nad tych naprzykład panów, którzy wyszedłszy, zostawili za sobą woń tak miłą, powiedziałabym eteryczną.

— Ale widać moja kochana pani Dążycka, przerwała Zenobia z uśmiechem, żeś nie spleśniała na wsi. Używasz wyrazów tak doborowych, jakbyś zawsze żyła w świecie mody.

— Robi się wszystko co może, aby nie zardzewieć. I trzeba też szczególnego usposobienia, aby nie lgnąć do tych wszystkich wyższości społecznych, do tych form gładkich, arystokratycznych, i przenosić nad nie ludzi takich, jak pan Bruno, niemających ani czucia ani wyobrażenia dobrego tonu.

— Przyznam się mamie, że podług mnie, ludzi różni tylko wychowanie, jeniusz, talenta i cnoty, ale nie urodzenie, ani też te lub inne, mniej lub więcej modne ułożenie. Dla tego też nie rozumiem, dla czego miałabym mniej szanować pana Brunona, który jako gospodarz, wierny swemu zawodowi, pracuje i jest przyjacielem swoich poddanych, a przez to samo już pożytecznym, a więcej uwielbiać takich paniczów uperfumowanych, jakich tu zdybaliśmy, których jedyną jest zasługą, iż są wyperfumowani, że wiedzą jak związać chustkę, jak chodzić po posadzce, ukłonić się zgrabnie, albo powiedzieć coś jeżeli nie dowcipnego, to przynajmniej urażającego swoją do dowcipu pretensyą. Rozumiem uchylenie czoła przed prawdziwą zasługą, a mianowicie przed zasługą ojczyznie własnej uczynioną, ale nie przed pretensyą mody, kieszeni czy urodzenia.

— Jesteś istny oryginał moja śliczna Felicyo! — ozwała się pani Zenobia z uśmiechem pełnym słodyczy. Ale nie oryginał dla tego, że mówisz coś nowego, ale dla tego, że jak uważam zamyślasz być oryginałem w naszym świecie. To wszystko co mówisz jest niby piękne, ale wyjęte z romansów lub różnych pogadanek zasłyszanych, pełnych utopii nibyto filozoficzno-społecznych; nie ma wszakże w tem ani trochę życia realnego, praktycznego. Z tem wszystkiem niedaleko zajedziesz w naszem życiu materyalnem, idealizowanem tylko przez zbytek osobistych potrzeb i wymagań.

— Ja też niedaleko chcę zajść w to życie, które czuję że nie dla mnie.

— Kto wie!... Zapomniałaś o próżności, której znakomitą ilość każdy posiada, a mianowicie płeć nasza, u której próżność jest tem czem ambicya u mężczyzn. Ty moja moralna bohaterko, musisz się od razu podobać, i podobać bardzo przybraną oryginalnością, która dla nas ma zawsze pociągający powab nowości. Stanąwszy raz na szczycie, kto wie, czy ci się zechce zejść z tryumfalnego wozu?...

— Aż nadto tkwi w pamięci mojej los biednego Masaniela, który dzień tryumfu i władzy przepłacił podwójną śmiercią: umysłu i ciała!

— Mamy jak widzę i dowcip i znamy dzieje trochę panno Felicyo! Zrobisz niezawodnie wrażenie, a wrażenie budzi miłość własną; od miłości własnej do próżności przejście nie wielkie i łatwe.

— Rozumiem. Będę w towarzystwie pani jakby jakie źwierzę rzadkie, pokazywane w klatce. Ale klatka czy prosta czy złocona, zostanie w przekonaniu mojem zawsze klatką!...

— Nie ufaj sobie w tym względzie moja piękna Felicyo! Powtarzam, że rachuję na wzbudzoną próżność. I jakkolwiek występujesz od razu z pogardą i lekceważeniem dla mojego towarzystwa, zdaje mi się że mogę zapewnić matkę twoją, że uczynię zadosyć jej żądaniu, i spełnię wzięty na siebie obowiązek, gdy czy ja ciebie, czy ty sama siebie pod wpływem towarzystwa mego, przekształcisz w osobę miłą, pobłażającą, i prędzej niż myślisz zastósowaną do wymagań naszego towarzystwa.

Felicya na znak podziękowania skłoniła głowę z uśmiechem ironicznym.

VI.

Pani Dążycka nie bawiła długo w mieście. Równie Zenobia jak i Felicya życzyły sobie jak najmocniej, by wyjechała jak najprędzej. Wyjechała tedy, zabrawszy nazad wszystkie swoje aniołki, bo Zenobia oświadczyła, że odzwyczajona od dzieci, choć to są aniołki, i właśnie dla tego że aniołki, niechce matki pozbawiać tak wielkiego szczęścia.

Zostały tedy Zenobia i Felicya same naprzeciw siebie, w walce ciągłej, chociaż ta walka niczem się na zewnątrz nie pojawiała.

Ktokolwiek chciał się zastanowić nad tym obrazkiem, którego szczegóły mogą być urojone, ale podstawa jest pewnie prawdziwa, przyzna niezawodnie że ta walka musiała istnieć, walka nieustanna i zawzięta. Dwa zdania przeciwne, skoro się z sobą zdybią, muszą walczyć i walczą w polemice, słowem lub pismem, w życiu praktycznem zaś samym objawem praktycznym życia.

Dla pani Zenobii była ta walka zadaniem ważnem, żywotnem. Zemsta na córce za to, że matka ją wprowadziła na ten tor życia, była tylko chwilowym chorobliwym pomysłem, któremu poprawdzie sprzeciwiało się całe usposobienie Zenobii, zepsutej powierzchownie, ale mającej w sobie zarody szlachetniejsze. Lecz jest w usposobieniu

wspólnem każdemu człowiekowi, żądza że się tak wyrażę apostołowania. Każdy człowiek ma niepowściągnioną chęć przerabiania drugich na własne podobieństwo. Jest to konieczny wypływ miłości własnej, każdemu właściwej, która każdemu szepcze w ucho, że droga przez niego obrana jest najlepsza. Nikt nie chce się przyznać do tego, że źle wybrał. Ta żądza w Zenobii była jeszcze zpotęgowana przez to, iż mimowolnie w chwilach samotnych zarzucała sobie tę drogę przez się wybraną, jako drogę fałszywą, której unikać należało, której unikać można było. Wystąpienie Felicyi na tym świecie, który ją w swoje sidła zaplątał, było dla niej tem pożądańszem, że sama chciała się przekonać, czy można oprzeć się tym sidłom. Jeżeli Felicya ulegnie mimo surowych zasad swoich, czyliż to nie będzie uniewinnieniem Zenobii?

Dodajmy do tego, że niemałym bodźcem dla Zenobii, by wytrwała w tej walce, było że się czuła obrażoną zimnem zachowaniem się Felicyi względem niej, obrażona pogardą tejże dla towarzystwa któremu hołdowała. Przełamać upor Felicyi, zwyciężyć w tej walce, było zatem naturalnie zadaniem żywotnem dla pani Zenobii. I po prawdzie powiedziawszy, walka dla niej była łatwiejszą niżeli dla Felicyi. Felicya jako młodsza, jako dziewczyna bawiąca niejako na opiece Zenobii, musiała stósować się do zwyczajów domu tej, u której bawiła; gdy tym czasem dla Zenobii, też same zwyczaje modnego świata były same przez się najlepszemi sprzymierzonemi.

Najtrudniej z początku było dla Felicyi odmienić cały dawny tryb życia, a mianowicie, przyzwyczaić się do póżnego w noc czuwania, a zaspania rannych godzin: w domu bowiem przyzwyczajoną była do bardzo rannego wstawania. Lecz trudno było porzucać towarzystwo, bawiąc się do północy i dłużej, i samej wracać do domu o wcześniejszej godzinie. Byłoby to gonienie za śmieszną oryginalnością, czego Felicya chcąc być naturalną, unikała. Przyszedłszy póżno do swego pokoju, zmęczona, ani chwili nie miała swobodnej do rozpamiętywań smutnych, do pamiątek, bo ją sen morzył. Czasem gdy trapiona najpiękniejszemi snami zbudziła się, zdawało się jej, że jest jeszcze na wsi, i słuchała, czy nie usłyszy trąby stróża wiejskiego, która miała dla niej zawsze coś nadzwyczaj miłego, nie harmonią swoją, ale urokiem nuty sielskiej, rodzimej, na poły tęsknej, na poły poważnej. Lecz wnet bijące zegary miejskie, głosy wart żołnierskich, niszczyły jej chwilowe złudzenie, i wówczas to przychodziły jej myśli smutne do głowy, pamiątki do serca, a łzy do oczów. I znowu sen sklejał powieki, a ranek zawsze świeży, zawsze wesoły, zacierał smutne nocy wrażenia. Bo nareszcie trzeba było się ubrać, pomyśleć o zamówionych zabawach na poczynający się dzień, który witał ją zwykle ślicznym bukietem, codzień jej przynoszonym.

Czas więc dla Felicyi upływał; wzdychała nieraz w dzień, płakała w nocy, ale niemniej przeto bawiła się dosyć przyjemnie. Nadto miała słuszności w sądach swoich, aby nie przyznać, że wszyscy otaczający ją byli nadzwyczaj grzeczni i uprzejmi dla niej: a mimo całej skromności i surowości zasad, nie mogła się gniewać za to, że powszechnie i to bez przesady, ale raczej z pewną delikatnością chwalono i jej wdzięki i ułożenie i gust w ubraniu. Dla nowych przybyszów, mianowicie dla ładnych kobiet, świat więcej wykształcony ma swoje pochlebstwa, pełne przenikającego powabu, ma zaprawdę i głos syreni, i magnetyczny tropikowych gadów wzrok. I ma to wszystko, póki ta nowość towarzyska, zawsze pożądana jak każda nowość, bawi go. Prawda że gdy wyciągnie z nowego przedmiotu wszelką zabawę, jaką zeń wyciągnąć może, wyciśniętą skórkę cytrynową rzuca w to wielkie śmiecisko swoich wszystkich minionych już kaprysów i zachceń.

Najlepszym Zenobii sprzymierzeńcem był jeden z tych dwóch młodzików, spotkanych w jej salonie przy pierwszym wstępie Felicyi w dom swej opiekunki, który postanowił nawrócić piękną kaznodziejkę, jak ją przezywała cała młodzież, i pociągiem przyjemności przyprowadzić choćby do występku. Bo cóż to jemu szkodzić mogło?

Pan Ludwik był próżny, i łatwo zapalający się. Felicya podobała mu się od razu. Zdobyć jej miłość, uwieść wieśniaczkę, to była jego pierwsza myśl, do czego łączyła się druga równie szlachetna myśl, pofanfaronować przed kolegami, i pochwalić się łatwą zdobyczą, choćby nie zdobytą jeszcze. Paradował on w tym celu na koniu po razy kilka przed jej oknami, ale Felicya pamiętna na słowa Brunona, mimo ochoty, nie przystępowała do okna, choć słyszała tętent konia, i domyślała się kto był jeźdźcem.

Lecz unikając tego, czyliż mogła unikać jego towarzystwa w salonie pani Zenobii? Czyliż mogła uszy zamknąć na jego grzeczności, usunąć ręki, gdy ją prowadził na przechadzkę, lub wyprowadzał z balu i teatru? Niebyłożby to istne parafiańStwo? Czyliż nie musiała mu być wdzięczną za śliczne bukiety, któremi ją i Zenobię codzień obdarzał, albo za nuty nowe, które zawsze znajdywała na fortepianie, skoro tylko wyrzekła upodobanie swoje w tej lub owej zasłyszanej muzyce? Zapewne nieraz wygrywając te same nuty, gdy ozwał się jaki ton tęskniejszy, przychodziła jej na myśl wieś rodzinna, i poczciwy szczerze ją kochający sąsiad; lecz czyliż była temu winna, jeżeli tuż obok obrazu Brunona stawała postać Ludwika. Westchnęła wówczas nie z powodu porównania zapewne, ale westchnęła zawsze. I nie było czasu do porównania, bo pan Ludwik wchodził do pokoju, a Felicya ścierała prędko łzę z oka, bo jużciż wstyd jest płakać Bóg wie czego, i przykro wystawiać na wyśmianie sentymentalnych łez. Ludwik jak wielu jemu podobnych, niemając żadnego gruntu prawdziwego, był wesoły, uprzejmy a nawet dowcipny czasem i oczywiście nielitościwie wyśmiewał wszystko to co, we-

dle jego ulubionego wyobrażenia, wbijało gwóźdź boleści w serce. Naturalnie i Felicya musiała z nim być wesołą i nieraz uśmiać się serdecznie.

Ludwik grał doskonale na fortepianie. Nieraz gdy Felicya odegrała które z przysłanych jej nut, on robił uwagi bardzo słuszne i umiejętne, i przysiadłszy koło niej, brał jej rękę nie bez lekkiego ściskania, stawiał białe jej paluszki na ten lub ów klawisz, albo gdy wypadło co poprawić w basie, Ludwik siedząc z prawej strony musiał ją ręką objąć prawie. A najczęściej miał coś w basie do poprawienia, gdy był w salonie kto obcy. Felicya nie zwracała na to uwagi żadnej, i rada była nawet tym lekcyom, bo lubiła muzykę a opłacać drogich nauczycieli miejskich nie miała za co. Sama więc nieraz wzywała Ludwika do fortepianu, a w przestankach ten lub ów przedmiot rozmowy, stawał się powodem żartów i śmiechu. Jednem słowem, Felicyi ani się śniło, że to wszystko może ją kompromitować, kiedy już wszędzie głośno mówiono, że Ludwik jest jej szczęśliwym kochankiem. (D. c. n.)

POWRÓT*).

Na step się nie pędzi wesoło od ludzi,
Jak z piosnką o szczęściu do dworu pod bór;
Myśl stepu, o! dzika, w rospaczy się budzi,
Na szczęścia ruinie i ludzi i trudzi,
Na drodze z ostatniem spojrzeniem na dwór!

Myśl stepu, o z gorszych najlepsza w tym razie...
Gdy harpija głodu z pod serca ssie krew,
Toż lepiej niż martwieć śród ludzi, na głazie,
Uganiać przez stepy, po dzikiej oazie,
I orłom, nie ludziom, rospaczy nieść spiew.

Więc biegłem od ludzi w objęcie przyrody,
I z sobą uniosłem pamiątki i żal;
Na stepie tam chłodnym szukałem ochłody,
Bom w duszy się palił, bom ciałem był młody,
Jam duszę i ciało hartował na stal.

W gonitwie, gdym z piersi wyrzucał tę lawę,
O, wcalem nie myślał w olbrzyma tam wzrość;
Wyprawa na stepy nie idzie na sławę,
I rozum się wzdryga na taką wyprawę;
Co chcecie... niemiałem rozumu, ach, dość!

Na stepie milczenie i smutek głęboki;
Toż smutny za oczy goniłem tak w czwał:
By wylać to piekło na step on szeroki,
Wyspiewać ten smutek pod nieba obłoki;
Co chcecie... o, wieku młodego to szał!

Step dziki... jam dzikszy był wówczas panowie...
Śród walki, tej strasznej, rozumu i czuć,
Okropna, szkaradna wschodziła myśl w głowie;
Toż dziki na dzikie będziłem pustkowie;
Co chcecie panowie... nikt nie rzekł mi: wróć!

Więc zbiegłem na puszczę, ach, w duszy rozstroju,
Przez ludzi wygnany, ścigany od mar;
Step lepszy od ludzi, milczeniem w pokoju,
Powitał przybysza, i lodem ze zdroju,
I tchnieniem grobowem jął tłumić ten żar.

Daremnie, daremnie... wre w piersiach krew młoda,
O, duszy płomienia nie stłumi i step.
Niemiałżem swobody?.. o miła swoboda!
To z razu do duszy przylgnęła przyroda,
Myślałem że w silny wyrosnę tam szczep.

Spojrzałem, step w koło, a niebo nad głową:
I w duszy boleści odezwał się ton...
O, gdyby tu ona!.. odżyłbym na nowo,
Step byłby królestwem, a ona królową;
Szczęśliwy dla szczęścia, ach, wzniósłbym był tron!

Lecz jej tam nie było, a w piersiach paliło.
O. dobrze mówicie: wspomnienie, to gad;
Bez końca męczyło, szarpało, krwawiło,
I w końcu tę czarną tęsknotę zrodziło;
Panowie, tęsknota, piekący to jad.

Ha kara to boża, żem w płochym zapale,
Tak trwonił dostatek i czucia sił,
Żem przeniósł nad ludzi drapieżne szakale,
Nad pola rodzinne step dziki na skale,
Żem zrodzon do pracy, nieczynnie tak żył.

Goniłem czas długi, by zabić tęsknotę;
Na ból ten pomoże gonitwa i czas?...
Gonitwa bez celu przyniosła sromotę...
Ze stepu duch wzleciał aż tam na Golgotę;
Jakżem się zawstydził i siebie i was.

Puściłem wronego;—gdy step mnie zawadził,
Krzyż wzniosłem—krzyż Pański, zbawienia to znak,—
Upadłem przed krzyżem, a krzyż mnie pogodził
Ze ziemią i z niebem, i wzmocnił, odrodził,
Ze stepu do ludzi krzyż wskazał mi szlak.

Poszedłem tym szlakiem; dziś pośród was stoję,
Tu koniec panowie, początek był tam...
Początek na boje, a koniec na znoje,
I w bojach i w znojach o! szczęście nie moje;
Nie marzę, nie roję, bo szczęście, to kłam!

J. Z.

*) Patrz wiersz *Goniec* Nr. 46 i *Do Gońca* Nr. 50.

Napoleon w wilią bitwy pod Budziszynem (Bautzen).

(Opowiadanie byłego oficera ułanów polskich.)

Armia rossyjska stojąca pod Bautzen wspierała się prawem skrzydłem o góry, lewem zaś dotykała niziny. Armija francuska zajmowała koniec niziny za wioskami: Aurez, Nadewitz i Burg, rozciągając się wzdłuż lasków i wzgórków, panujących nad tąż niziną.— W nocy z 20. na 21. maja otrzymała armia francuska rozkaz: mieć się w pogotowiu do boju.— Z niecierpliwością wyglądało wojsko świtu dnia, który o ich losie miał stanowić; mówiono bowiem, że po zwycięztwie Austryjacy mają się z Francuzami połączyć i tym sposobem zwycięzcom w nagrodę pokój zapewnić.

Z 30. ułanami stałem na placówce pod małym pagórkiem, w oddaleniu strzału pistoletowego od pikietu kozackiego. O godzinie 3ciej zrana adjutant jenerała Labruyère przywiózł mi rozkaz następujący: «Napoleon przybędzie na łańcuch przednich poczt, żołnierze mają pozostać na swoich miejscach, honorów żadnych niemają oddawać ani też zważać na przybyłego Cesarza, każdy niech pilnuje swojego zatrudnienia». O pół do 4tej ukazały się dwa szwadrony Gwardyi ułanów, o strzał karabinowy od mej placówki, i 4ech jeźdźców przybliżało się stępą ku mnie. Naprzeciw nas stojący kozacy niepostrzegli tego jak sie zdaje, i najspokojniej przeprowadzali w rękach swe konie po bujnem zbożu, którem je napasali. W krótce przybył cesarz na mój pagórek, miał na sobie historyczny swój sieraczkowy surdut i mały trójgraniasty kapelusz, bez żadnych innych odznak wojskowych, jechał na pięknym bułanie. Z nim przybyli marszałek Bertier i Ney i nasz jenerał diwizyi Labruyère, siostrzeniec pierwszego. U podnóża pagórka pozsiadali z koni, a gdy ani masztalerza ani ordynansu z sobą niemieli, mój podofficer odebrał im konie. Stósownie do udzielonego rozkazu, żołnierze moi niezważali bynajmniej na przybyłych gości, połowa z nich zatrudniała się końmi, inni siedzieli przy ogniu, piekli mięso lub spokojnie swe wino pili. Co do mnie z fajką w ustach przechadzałem się po wzgórku; za zbliżeniem się cesarza ku mnie, oddałem mu wojskowe powitanie, nieprzerywając bynajmniej mej przychadzki. Czterech moich gości pokładło się na ziemię po za wielkiemi kamieniami. Berthier rozłożył wielką mappę i podał Napoleonowi długą perspektywę; pomówiwszy chwilę z sobą z cicha, wskazując na mappę, przykląkł jenerał Labruyère. Napoleon wsparł perspektywę na jego prawe ramię i w schylonej postawie rozpoznawał z kwandrans rossyjskie pozycye: naprzeciw mego pagórka leżące miasto Bautzen, najeżone działami, i silnie piechotą obsadzone, po za niem wzgórza. Poczem posiadali wszyscy na kamienie. Napoleon przywołał mnie i zapytał po francusku, jak dawno służę? «To moje rzemiosło, Najjaśniejszy panie,» odrzekłem; «od 16tu lat znam się z kulami.» «Jakież twoje zdanie o kozakach?» «Śmiały to żołnierz, ale więcej z nich pożytku w służbie obozowej, jak w bitwie otwartej.» «To prawda; nacierałeś kiedy na piechotę moskiewską?» »Nieraz Najjaśniejszy Panie; mężna i godna przeciwniczka piechoty Waszej Cesarskiej Mości!« »Dobra uwaga» odrzekł Napoleon, obróciwszy się do Marszałka Ney. Poczem do mnie: »Wasza mowa Polacy, bardzo podobna do rossyjskiej?» «Tak jest Najjaśniejszy panie, porozumiemy się o tyle z sobą, jak np. Szwed z Duńczykiem, lub Niemiec z Holendrem.» «Ale,» zagadł cesarz, «mówisz pan po niemiecku?« »Mówię, Najjaśniejszy panie.« »Kiedy tak, siadaj na konia i sprowadź mi z tej tam wioski, co o parę set kroków przed nami leży, jakiego chłopa, w twej niebytności ja dowodzę twym posterunkiem.« W mgnieniu oka okiełzałem konia, wsiadłem nań i czwałem popędziłem ku wsi. Przybywszy, spostrzegłem na jednym końcu wsi rossyjskich strzelców, gotujących kaszę około ognisk; a na drugim francuskich celnych strzelców, plądrujących po wsi i wchodzących z domu do domu. Na szczęście wyszedł z jednego na pół ubrany chłop niemiecki. »Przyjacielu" zapytałem, «chceszli od naszego jenerała co pieniędzy zarobić?"«Pieniędzy? dobrze ale zaco?« »Pomówisz tylko z nim parę słów.» «Może mnie chce wziąć za przewodnika?» »Niebój się, na honor ci zaręczam, że tylko z tobą pomówi i zaraz na powrót do domu wrócisz; z resztą» dodałem «albo dobrowolnie się zemną udasz, albo jeśli się zechcesz opierać, przymuszę lub kulka w łeb!» (to mówiąc, wyciągnąłem z olstry pistolet, naturalnie chciałem mu tylko strachu napędzić.) «Bardzo chętnie pójdę i gotów jestem,« odrzekł chłop, trzęsąc się od strachu. »Wtakim razie siadaj na konia z tyłu za mną!» Przybliżyłem się ku płotowi; Niemiec wdrapał się na konia, i czwałem wracałem z nim ku posterunkowi. «Brawo panie oficerze» zawołał ku mnie Napoleon, skoro nas zoczył «dziękuję ci!» Chłop zlazł z konia i trzęsąc się oczekiwał swego wyroku. Napoleon obrócił się plecami do niego i przez jenerała Ney następujące mu dawał zapytania: «Jak głęboka rzeczka, płynąca doliną na prawo? (na lewem skrzydle moskiewskiem)» «Tylko po kolana,» odpowiedział chłop. »Czy przejeżdżacie ją waszemi wozami?» «Zawsze, wyjąwszy na wiosnę i jesień, jak wody wzbiorą.» «Czy ją można wszędzie przebyć?» »Nie, w niektórych bowiem miejscach jest pełno kamieni na spodzie; ale od tego to mostku na prawo, na ćwierć milę jest twardy i równy grunt w rzece.» Napoleon, zdawało się, był bardzo zadowolniony z odpowiedzi chłopa, bo się uśmiechał i rozweselił. Zażądał pieniędzy od marszałka Berthier i pełną garść Napoleon d'or podał chłopowi, mówiąc: »Na masz; wypij za zdrowie cesarza Francuzów!» Chłop chciał mu upaść do nóg. «Stój!» zawołał cesarz, «znasz ty cesarza?» «Nie znam, ale chciałbym go widzieć» «Wtakim razie spojrzyj tam!» wykrzyknął cesarz, wskazując na marszałka Ney, który rozpinał swój wierzchni surmut i ukazał złotem haftowany mundur. Chłop upadł mu do nóg; Ney rozśmiał się: «Ten pan cię zwodzi! oto cesarz!» zawołał wskazując na Berthiego. Chłop powtórnie temu upadł do nóg. «Nietrudź się nadaremnie» przemówił Berthier, łamaną niemczyzną: «Nie ja lecz tam cesarz» wskazując na Labruyèra. Chłop chciał przed tym upaść, ale Labruyère zawołał: «Za młody jestem, bym był cesarzem oddaj ukłon temu, co ci dał pieniądze.» «Prawdę pan mówisz» odrzekł Niemiec chwytając cesarza za rękę i całując ją: «To złota rączka.» Goście moi serdecznie się uśmieli, odprawili chłopa do domu i pomału zaczęli schodzić z pagórka. Napoleon kazał Berthiemu wypłacić każdemu z moich ułanów po louidorowi, co natychmiast nastąpiło; poczem zawołał: «Berthier! nanotuj nazwisko tego pana ofi-

cera!» Dosiadłszy konia, zwrócił się ku mnie mówiąc: «Rozmawiałem z żołnierzami o Waćpanu i jestem z Waćpana kontent; jeślibyś kiedy miał prośbę do mnie, wprost się do mnie udaj i przypomnij naszą znajomość pod Bautzen. Bywaj zdrów! życzę ci, byś wkrótce rotmistrzem został!» Skłoniłem się, a Napoleon z swemi towarzyszami stępą oddalał się ku szwadronowi gwardyi ułanów, którzy go oczekiwali cały ten czas, nie zsiadając z koni.

W niespełna godzinę konni strzelce zluzowali mój oddział; wróciłem do pułku, a pierwsze słowo, którem mnie mój pułkownik powitał, było: „Jak się miewasz kapitanie!» W pułku już przeczytany był rozkaz dzienny, którym mnie awansowano z porucznika na rotmistrza. Szczęśliwy i pełen nadziei wychyliłem z mymi kolegami kilka flasz starego wina, a w godzinę później szliśmy naprzeciw kul nieprzyjacielskich, które (jak wiadomo) nie robią różnicy między porucznikiem a kapitanem!

Rozmaitość.

* **Wyspa Jersey**, od czasów Wilhelma zdobywcy, posiadłość angielska, ma najdawniejszą historyą emigracyi. Na wyspę Jersey uciekł Karol II; tu późniejszy minister jego, lord Clarendon, pisał swą angielską historyą, aż zwycięzkie wojska Kromwella obudwu ztąd wypędziły. Wygnani za Ludwika XIV. *Hugenoci* tu się schronili i utworzyli główną część ludności tutejszej. Za nimi udali się do Jersey podczas rewolucyi francuskiej *prałaci i szlachta francuska*, których ojcowie do wygnania Hugenotów się przyczynili i przyjmowani byli od Hugenotów najuprzejmiej. Ofiary rozmaitych rewolucyj w wieku XIX. znachodziły tu bezpieczne schronienie, bez względu czy monarchiści, republikanie, komuniści i t. p. Najliczniejszy zaś kontyngent dostarczył zamach 2go grudnia. Ile tu obecnie na wygnaniu bawi Francuzów, trudno oznaczyć, bo tu nikogo nikt nie pyta, z kąd przybywa, kto jest i czego szuka. Najsławniejsi dwaj wygnańcy są obecnie jenerał Leflo i Victor Hugo, którego dziełko: *Napoleon le petit* pomimo najostrzejszych zakazów, znalazło takie rozpowszechnienie, jakiego prócz «Chaty wuja Tomasza» żadne w ostatnich 5ciu latach nie miało dzieło. Z żoną, córkami i synem mieszka Victor Hugo w St. Heliers, stolicy wyspy Jersey, na przedmieściu, tuż nad samym brzegiem morskim, w pięknej willi. «Je veut entendre le bruit des vagues,« mówił komisantowi, który mu miał mieszkanie wyszukać. Urzędowym językiem na wyspie jest francuski. Lud, pochodzenia normańskiego, mówi narzeczem francuskiem. Lecz po miastach angielski język bierze górę. Wygnańców najwięcej jest Francuzów. Zbierają się oni tu dla taniego życia. Wyspa Jersey bowiem uwolniona jest od wszystkich ceł a nawet swe własne produkta bez cła do Anglii wprowadzać może. Z tego powodu mieszkańcy żyją z produktów sprowadzanych z wybrzeża francuskiego a swoje płody wyprowadzają do Londynu. Wyspa rządzi się sama, przez konnetablów dwunastu, których z pomiędzy ludności obiera na naczelników gmin. Jersey ma zaledwie dwie mil kwadratowych a liczy przeszło 60,000 mieszkańców. Cała wyspa jest ogrodem dużym. Z powodu taniości produktów francuskich, a dobrego spieniężania w Anglii własnych, wyspa ta nie wie prawie co to jest pług, lecz wszystkę ziemię uprawia rydlem i motyką. W przeszłym miesiącu rząd angielski zapragnął wiedzieć, ile wygnańców mieszka na wyspie. Podobno zamierzył przez grzeczność dla Napoleona, kontrollę wygnańców zaprowadzić. Konnetable ogłosili następującą odezwę: «Gdy Jego Excelencya zastępca-gubernator życzy sobie dowiedzieć się, ilu cudzoziemców, jakiego powołania i zatrudnienia i od jak dawna bawi na wyspie i czy mają paszporta lub poświadczenia jakowe, więc upraszamy wszystkich aby dnia.. raczyli zgłosić się do nas i wpisać się do spisu, który dla jego excelencyi sporządzony być ma. Ktoby paszport posiadał, tego uprasza się, aby go z sobą wziąć raczył.» W skutek tego wezwania ledwie dziesiąta część się zgłosiła i na rejestrze swe imiona wpisała. O resztę nie pytano. Formalność bowiem była dopełniona. Cała wyspa zasiana jest najpiękniejszemi willami. W St. Heliers mieszka 30,000 a drugie tyle w rozrzuconych domach po wyspie. Wille te są bardzo gustownie zbudowane, otoczone ogrodami kwiatów i parkami. W najpiękniejszem położeniu wynajęcie dla 2ch osób takiej willi kosztuje tygodniowo 6 do 9 złr. Codzień piekarze, rzeźnicy i handlarze innych wiktuałów objeżdzają całą wyspę od domu do domu i zaopatrują mieszkańców w żywność. Życie jest bardzo przyjemne, a wygnańcy niepotrzebują powtarzać Owidiusza skarg na ostre i niegościnne powietrze, na brak wszelkich wygód na wygnaniu.

* W przeszłym miesiącu w Paryżu toczyła się sprawa o spuściznę po admirale Czyczakowie, który w roku 1812 po zawartym w maju pokoju w Bukareszcie, otrzymał polecenie, z swą armią zastąpić drogę Napoleonowi w odwrocie od Berezyny. Czyczaków w roku 1814 wziął urłop na czas nieoznaczony, żył długo w Francyi, gdzie wydał za mąż trzy córki za francuską szlachtę, nieusłuchał ukazu wydanego r. 1834, aby wszyscy Rossyanie wracali do kraju pod karą konfiskaty majątku. Kilka lat przed śmiercią w r. 1847 otrzymał indygenat na obywatelstwo angielskie. W testamencie jego znajduje się następujący ustęp: «Gdy szlachcie rossyjskiej odjęto przywileja, a mnie w szczególności pensyą należącą mi się za długie lata służby, więc zerwałem stosunek poddańczy w dawniejszej ojczyznie mojej, i zostałem obywatelem narodu, który u siebie rozumne zachowuje swobody. Z tego powodu dopuścić nie trzeba, aby jakowa władza rossyjska mięszała się w to co mnie dotyczy; moim córkom jednakowo polecam zwrócić rządowi rossyjskiemu ordery: Aleksandra Newskiego, Ś. Włodzimierza, Ś. Anny i Ś. Jerzego.»

* We wtorek śpiewak włoski, pan Moriani, o którym już dawniej donieśliśmy, wyprawi wraz z żoną swą koncert wokalny w sali redutowej.

* Ryciny do poprzedniego numeru załączone, przedstawiają: **Kapelusz Louis XV.** z słomki ryżowej, ubrany blondyną białą, koronką czarną, kwiatami i piórami. Najnowszy model modniarki Aleksandryny. Kania ryżowa nad czołem jest w kształcie Marie Stuart, z każdej strony pod kanią garnirowanie z blondyny, z prawej u góry bukiet róż z liśćmi, z lewej fontaź z koronki czarnej, po lewej stronie bukiecik róż u dołu kani, wstążkami niebieskiemi przystrojony. **Płaszczyk wycięty** i suknia z jedwabnej materyi z falbanami wycinanemi, czarną wstążeczką atłasową, koronką czarną wązką i szeroką obszyte. Stanik wysoko zachodzący, spodnica o dwóch szerokich falbanach w zęby wycinanych i koronką obszytych. Kołnierzyk koronkowy, z przodu żaboty. **Czepeczek mousquetaire.** Wzór modniarki Aleksandriny w najnowszym guście, zrobiony z tafty różowej i przystrojony aksamitkami czarnemi i wstążkami różowemi. **Suknia z popeliny** koloru popielato srebrzystego, guzikami przyozdobiona. Stanik wysoko zachodzący z małą baskiną, pod spodnicę zachodzącą. Rękawy skrojone nakształt *pagode*, których szerokość od ramienia aż do zagięcia ręki w drobne zakładki się układa, a na zewnątrz dłużej śpiczasto się kończy. Spodnica osobno od stanika z pasem szerokim z przodu kończasto więcej niż z tyłu zachodzącym, brzegi tego pasu są lamowane, szerokość spodnicy jest u dołu na 10 centymetrów w takie zakładki ułożona jak i rękawy. Guziki przyozdabiają przód stanika jako też spodnicę i rękawy. Kołnierz muślinowy, haftowany, koronką obszyty Rękawki muszlinowe haftowane, koronką obszyte.

Zakładki okrągłe u spodnicy i rękawów robią się na wywrót materyi, jak się na prawą stronę obróci wtenczas układa się w takie okrągłe zakładki jedno koło drugiego.

Rycina druga przedstawia Nro 1) **Czepek do ubrania domowego.** Dno formują blondyny przedzielone wstążkami, po obu bokach fontazie z wstążek, z tyłu dwa długie końce z wstążek, blondyną obszyte, nad czołem przepaska z wstążki z małem fontaziem z boku. Nro 2) **Czepek muszlinowy,** przystrojony szlarką przez środek marszczoną i koronką obszytą, z tyłu podwójny fontazik z takiej samej szlarki, jeden do góry, drugi na dół spadający, szarfy do wiązania i końce z tyłu z wstążki białej. Nro 3) **Sukienka dziecinna.** Spodnica tej sukienki o trzech falbanach haftowanych. Dwie pierwsze nad wstawką a trzecia spada od samego stanu i formuje zarazem baskinę. Rękawy krótkie, obszyte dwoma szlarkami haftowanemi. Stanik z samych wstawek, szlarką szeroką koło ramion obszytą w koło w kształcie berty. Nro. 4) **Półkoszulek** wysoko zachodzący, z wstawek w zęby i koronki valencienne w zygzagi, koło szyi wstawką w zęby i koronką valencienne obszyty. Nro 5) **Półkoszulek Julia,** robi się z tiulu. Przód jest przyozdobiony bufką marszczoną tiulową, wstawką guipure, przez którą przeciąga się wstążką i koronką guipure obszywa. Nro. 6) **Kaftaniczek krótki.** Przód jest z samych drobniutkich zakładek, szlareczki które przód przyozdabiają gubią się na ramionach. Rękawy z wstawką koło ręki i szlarką marszczoną obszyte. Nro 7) **Rękawy zakonnicze** tak zwane à la religieuse, robią się z tiulu, koło ręki marszczona bufka z wstawką, przeciągniętą wstążką, i fontaziem o dwóch końcach; koło wstawki koronka guipnre lekko zmarszczona. Nro 8) **Rękawy duchesse.** Ozdobą tych rękawów są bufki muszlinowe, wzdłuż przedzielone wstawkami, z wstawką haftowaną koło ręki. Brzegi tych rękawów obszyte gładko szlarką haftowaną.

Przyjechali od dnia 17. do 19. maja do Lwowa:

PP. Brückmann Ksawery bar., z Wołoszczy. Dobek Konstanty, z Sarnek górnych. Dzieduszycki Jan hr., ze Złoczowa. Humnicki Franciszek hr., z Podmojsca. Malczewski Juliusz ze Skwarzawy. Ostrorog Julia hr., z Samulaskowiec. Witosławski Bronisław z Tuligłów.

PP. Baworowski Mikołaj, ze Starej wsi. Czermiński Stanisław, z Albigowa. Górski Klemens, z Kołomyi. Gróo Jędrzej, z Biały. Hawranek Ignacy, z Ołomuńca. Łagoński Ignacy, z Gródka. Słonecki Leopold, z Podhajczyk. Strachoccy Józef i Roman, z Rudnik. Wasylko Jordaki, z Wiednia. Wiśniowski Antoni, ze Stanisławowa. Wolański Ignacy, ze Stanisławowa.

PP. Burkhart Antoni, z Kołomyi. Deller Józef, z Czerniowiec. Mnischek Karol hr., z Brodów. Stadnicki Kazimierz hr., z Mościsk.

Wyjechali od dnia 17. do 18. maja ze Lwowa:

PP. Fredro Henryk hr., do Rudki. Humnicki Michał hr., do Olejowa. Lewicki Benedykt, do Czortkowa. Miączyński Maciej hr., do Tyśmienicy. Nowosielski Ludwik, do Zbora. Pohorecki Antoni, do Żółkwi. Strzelecki Jan, do Żółkwi.

PP. Kowalski Kazimierz, do Milatyna. Lewicki Antoni, do Złoczowa. Małecki Kajetan, do Kamionki. Niezabitowski Napoleon, do Nakła. Prytyka Karol, do Tuczny. Szumlański Konstanty, do Kochajowa. Wieliczkowski Jan, do Demni.

Dzisiejszy. **Kurs lwowski.**

	Gotówką				towarem.			
Dukat holenderski	zlr.	6	kr.	15	zlr.	6	kr.	18.
Dukat cesarski	»	6	»	19	»	6	»	22.
Półimperyał zł. rosyjski	»	10	»	51	»	10	»	56.
Rubel srebrny rosyjski	»	2	»	7	»	2	»	8.
Talar pruski	»	2	»	3	»	2	»	4.
Polski kurant i pięciozłotówka	»	1	»	31	»	1	»	32.
Galicyjskie listy zastawne za 100 zlr.	»	92	»	—	»	92	»	10.

Kurs telegrafowany z Wiednia wczoraj o 2 g. popołud.

Amszterdam	—.	Marsylia	—.
Augsburg za 100 zlr.	138.	Medyolan za 300 lirów	$135\frac{3}{8}$.
Bukareszt	—.	Paryż za 300 franków	$162\frac{1}{2}$.
Frankfurt za 120 zlr. podług $24\frac{1}{2}$ stopy	$137\frac{3}{4}$.	Agio duk. ces.	—.
Genua	—.	Srebra agio	38.
Hamburg za 100 tal. banco.	$102\frac{1}{8}$.	Pożyczka 5% 85. $4\frac{1}{2}$	—.
Konstantynopol	—	Pożyczka lit. B.	—
Liwurno	—.	Akcye banku	1203
Londyn za 1 funt szterl.	13. 26.	Kolej północna	$2122\frac{1}{2}$.
		Obl. ind. 5%.	—

TEATR POLSKI.

W Niedzielę 21. Maja 1854: **Ruy-Blas.** Dramat z francuskiego w 5. porach.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.**

Z drukarni **E. Winiarza.**